



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60, kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

Ekspedycya główna w księgarni wydawcy
Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

O znaczeniu pierwiastku ludowego w literaturze.

Nos autem ea, quae sunt in usu vitaque communi spectare debemus.

Cicero: De Amicitia.

Badania na polu historii literatury i krytyki szukają dziś nowych dla wiedzy ludzkiej podstaw. Shakespeare'a. *psychologa* per excellentiam, nazywają poetą przyszłości. Każda praca na *psychicznej* podwalinie na uwzględnianiu stosunków życiowych oparta, najwięcej budzi zajęcia. Krytycy przestali podciągać utwory sztuki pod formuły estetyczne z góry nakreślone; sądzą *a posteriori*, szukają najpierw stopnia szerokości i temperatury intelektualnej, w jakiej dany utwór sztuki powstał.

Największym prawem dla poety-artysty jest przyrodzone prawo wymagań i dążeń duszy człowieka. Krytyk w sądzeniu z tego właśnie prawa wychodzi i mówi: ten jest wielkim, kto głośno powiedział to, co wszyscy myśleli.

Wewnętrzne prawa duszy człowieka w zasadzie są niezmiennie i wymagania mają niezmiennie: człowiek cierpiał i śpiewał zawsze; działał i marzył, grzązał w zmysłowości i wyrwał się duszą w świat nadziemski.—upadał i darł się do nieba. Dążenie do zaspokojenia potrzeb intelektualnych, moralnych i estetycznych—to nie nowa historia. Każdy i zawsze, świadomie czy nieświadomie, dążył do zaspokojenia potrzeb duchowych. Czy doszedł do celu lub jak daleko zaszedł?—to już zależy od sił, w jakie go dane warunki życia zaopatrzyły, od spadku, jaki odziedziczył po ojcach, od stopnia, na jakim go większe lub mniejsze rozbudzenie ducha postawiło—wreszcie od większej lub mniejszej areny działania.

Szukamy może (mówi jeden ze znakomych uczonych francuzkich) wielkich obrazów, zdolnych pobudzić nas do rozmyślenia nad losami rodu ludzkiego, to niezaprzeczenie będą niemi te prawdziwe a nie wymarzone tragedye, których sceną połowa kontynentu, przestrzenia—30 wieków czasu, aktorami—siły niepowstrzymane i niezłomne, które bez względu na nieszczęścia i jęki ośmdziesięciu ludzkich pokoleń, ciągle sprowadzają katastrofy, nieschodząc nigdy ze sceny i niemyśląc nawet o ostatecznym rozwiązaniu.

Historia literatury powszechnej zbyt młoda jest jeszcze nauką, aby miała czas zbadać już cały materiał, w jej zakres wchodzący; — każdy lat dzieł nowo przynosi wyniki i pewniejszy pracy kierunek wskazuje. Badanie *ludu* we wszelkich przejawach jego życia przynosi tutaj donośne i żywotne rezultaty. Historia literatury ludu w krótkim czasie nastrojona będzie do ogólnego tonu Historii Literatury Powszechnej. Krytyka znajdzie tu także pewne dane do zasad sądzienia, teraz zwłaszcza, kiedy narodowość stała się kryterium, kamieniem probierczym każdego poetyckiego utworu i niepożytości każdej poetyckiej sławy. U ludu właśnie zachował się czysty, wolny od obcych przymieszek, pokład indywidualności plemiennej.

Duch ludzkości zaznaczył drogę swego rozwoju w słowie, stworzył literaturę. Warstwy ludu nieoświeconego także są częścią ludzkości, a duch ich także się obudził szedł i rozwijał po swojemu i drogą swą w podaniach i wierzeniach zaznaczył, stworzył sobie literaturę.

Jeżeli dzisiaj górne są drogi ducha, prawdziwie wielkie ideały moralności, tytaniczne gmachy geniuszów piękna—to przecież także i lud, który nie sięga okiem w te sfery, ciekawe ma drogi swego ducha, swój świat wierzeń, przesądów, zabobonów, pojęć moralnych, podań, ideałów...

Narody mają literaturę: rzecz uznana i ustalona.

Lud ma literaturę (1): rzecz świeża, rażąca może jeszcze pedantów, w każdym razie rzecz już uznana, ale nie poznana należycie, nie ustalona, nie oceniona, lekceważona niekiedy.

Literatura narodowa staje się kosmopolityczną; gotowiśmy powiedzieć, że niema dziś literatur narodowych, tylko jest Literatura Europejska. Dramata i komedye francuzkie są dla Europy, powieści angielskie są dla Europy. Kształcimy się wszyscy na wzorach jednakowych i pod jednym wpływem idei chrześcijaństwa żyjemy, przez co indywidualność i narodowość się zaciera. Wobec tego tem więcej nabiera wagi budzące się silne dążenie do wyjawienia rodzinności, swojskości w literaturach, dążenie żywotne i niesłychanej doniosłości. Narodowością swą Homer nieśmiertelny. Wszędzie i zawsze w naszym wieku z zasady psychologicznej się wychodzi, indywidualność stoi na piedestale. Dusza pewnego narodu ma wystąpić w literaturze, pod jej-tę sztandarem właśnie klasyki pokonano. Szukając punktu wyjścia z podstawy rodzimej, znalezione u ludu *arke przymierza*. Powtarzają nie bez powodu i nie bez częściowego znaczenia zdanie wypowiedziane przez Kraszewskiego: „Podania gminu stały się ważnym i prawie jedynym żywiołem dzisiejszej literatury. Podania dziś dostarczyć mają tego, czego dawniej dostarczały: mitologia starożytnych, ich dzieje i t. p.“ (2).

Świat ducha ludu jest zgodny z najwewnętrzniejszą jego naturą. Pomimo bowiem długiego ciągu czasu, który na wszystkim nowe i coraz nowe

(1) Używamy wyrażenia: *literatura ludu*, unikając wyrażenia: *literatura ludowa*, przez co chcemy rozumieć książki dla ludu pisane. Przez lud zaś chcielibyśmy nie tylko gmin (chłopów) rozumieć, ale wogóle ludność, która nie odebrała wykształcenia umysłowo-estetycznego, — słowem, cały proletaryat ducha. To, co się rozumie pod wyrazem Literatura nazywamy tutaj Literaturą Narodu dla przeciwstawienia Literaturze Ludu. (Prz. Aut.).

(2) Studya literackie. Wilno 1842, str. 93.

piętna wyciska, pomimo wpływu chrześcijaństwa i literatury książkowej, pomimo najgorliwszego, nieumiarkowanego nieraz, niszczenia wszelkiego pierwiastku ludowego przez duchowieństwo, pomimo szerzącej się z wiekiem każdym oświaty, pomimo zresztą przygnębienia ludu i zaparcia jego karku w jarzmie pracy fizycznej: słowem, pomimo wszystkich jaknajniekorzystniejszych warunków, lud zachował swoją literaturę, dotrzymał skarby w ukryciu. Od czasu Grimma powątpiewanie o wartości naukowej tych skarbów coraz bardziej znika i słusznie u nas literaturę ludu nazwano *literaturą kopalną*.

Ta „literatura kopalna“ donośnie pod każdym względem ma znaczenie. Wszelkie chwilowe lub wpływowe objawy przechodzą i upadają. Tylko strumień czystej wody, z pod ziemi wytryskujący, jest nieprzebranym i nie wysycha nigdy. Literatura ludu zrodziła się razem ze świadomością człowieka; nikt jej nie stworzył, nikt jej nie narzucił, — przeciwnie na spód ustąpić musiała przed cywilizacją, na wyższe szczeble dźwigającą ducha. Ale ona ciągle nurtowała pod spodem, użyźniała, jak chęć niektórzy (1), nieopstrzeżenie niwy, aż przyszedł czas, że się na znaczeniu tego źródła poznało.

Nikt dziś nie zaprzeczy, że badanie ludu we wszelkich jego przejawach pod wielu względami żywotne, donośnie i ważne bardzo ma znaczenie: tak pod względem historycznym jak i mitologicznym, archeologicznym, etnograficznym i lingwistycznym (2), niemniej także pod względem prawnym (3), psychologicznym, etycznym, literackim i artystycznym.

Któż nie podziwia wielkich epopei narodowych, które się nigdy nie starzeją dla tego właśnie, że są z gruntu poczucia się indywidualnego danego ludu i pierwotnych wierzeń jego wysnute?

Dante jest geniuszem, bo jego *Bozka komedia* krystalizuje w sobie wierzenia i marzenia średnio-wieczne i na nich się wznosi.

Homer, Dante i Shakespeare — któż nie zna tych trzech wyrazów gieniuszu ludzkości? a one nie oznaczają nic więcej tylko poetów ludowo-narodowych.

Wielkie utwory Shakespeare'a osnuwają się na opowiastkach znanych już dawniej, współcześni nazywają go *kompiłatorem rzeczy gotowych*. *Faust* Göthego to wcielenie wielkich idei w formy oddawna już gotowe. Tryumf romantyków naszych to świadectwo ważności pierwiastku ludowego w poezji. Dość tu wspomnieć Brodzińskiego, Mickiewicza, Szkołę Ukraińską, Deotymę, Lenartowicza, Goszczyńskiego, Pola i w. i.

Zostawili oni wiele utworów, w których w formach ludowych wyobrażeń występują głęboko poetyczne, ogólnie-ludzkie idee.

Muzycy z wielkiem powodzeniem opierają się na tematach ludowych. Możemy tu powołać Mozarta i Webera, z naszych zaś Dobrzyńskiego, Szopena i Moniuszkę, który przez czerpanie z motywów ludowych, rodzimych, tem się stał dla nas w muzyce, czem Mickiewicz w poezji.

Wacław wyżej od *Fausta* stawiany bywa, a to z tego względu, że bohater ten w prostej nucie pieśni ludu znalazł to, czego Faust naprośnie szukał. *Wacław* to Manfred, może Faust słowiański, ale głębiej ma on piersi rozdarte niż tamten. Dreżony straszną repressją ducha i tęsknotą, depce wszystko i wszystkiemu wojnę wypowiada. Wpada niespodzianie na lud, słyszy śpiewy jego... tam sportręga znak istotnego życia, a życie nie może mieć innego źródła jeno prawdę.

(1) Maciejowski (*Pamiętnictwo Polskie*) pierwszy zwrot literatury nazywa literaturą ludową. Prozę z klechd wyprowadza.

(2) Nie miejsce tu wykazywać jak wielką rolę odgrywają badania języka ludu przy poszukiwaniach etnograficznych, jak wielkie naprzykład znalezione na tej drodze wskazówki wobec coraz szerszego budzenia się słowiańszczyzny i jakie zyskano tam dane do badań lingwistycznych. Język Kaszubów naprzykład wielkie rzuca światło na Historję języka polskiego.

(3) J. Grimm potrafił wnieść potężną budowę pierwotnej historii prawa niemieckiego, na zwyczajach i obyczajach ludu się opierającą (*Deutsche Rechtsalterthümer* 1854). Podobnie Maciejowski (*Historja prawodawstwa słowiańskich*).

(Przypiski Autora).

„—Bóg w nowej zabłysnął postaci,
Nie w księgach Go wynaleźć: On w żywocie braci
Mieszka, jak w swym kościele, jak w arce przy-
mierza!
Niebo rodzinne—oto świątyni jego wieża;
Ziemia rodzinna—oto budowa kościoła;
A w piersiach tron jest Jego — w piersiach głos
[anioła!“

Czy literatura ludu jako taka ma dziś artystyczne znaczenie? Nie; choćbyśmy największe znaczenie tej literaturze rodzimej, pod zakopeoną strzechą żyjącej, przyznawali, to zawsze ona wobec postępu oświaty, wobec dzisiejszych wymagań ducha, nie może już zaspokoić, budzących się z każdą chwilą, nowych potrzeb ludu. Literatura ta nie jest wyrazem życia i jego rozwoju, lecz tylko zabytkiem przeszłości przeważnie; ma ona wielkie i żywotne nawet znaczenie, ale dla uczonych, artystów i poetów-twórców, nie dla gminu. Gdyby dziś świat wierzeń ludowych miał występować w literaturze *in crudo*, gdyby poeci nie brali tych wierzeń jako form do nowych idei, lecz w naiwności i wierze je przytaczali, — doprawdy, niedalecy byłibyśmy od zdania Śniadeckiego, który, chłostząc romantyków (1818), mówi, że o schadz-kach czarownic, gusłach, wieszczbach, duchach chodzących i upiorach, baby wszystkie wiedzą i ze śmiechem pogardy mówią, że są to niedołężności i brednie przywołane z wieków grubiaństwa i zabobonu. Ale biedny duchem lud nie ma pokarmu z literatury wykształconej, albo ma go zbyt mało; ten biedny lud przeżuwał i przeżuwa niedołężności i brednie z czasów grubiaństwa i zabobonu. Wpływ cywilizacji chrześcijańsko-klassyczno-europejskiej nie dotarł w zupełności do pokładów ludowych, one tam zostały i nie oglądać im światła dziennego w zastarzałej swojej postaci. A przecież fakt ten silnie uderza nas w oczy, że tyle wieków cywilizacji chrześcijańskiej nie dało skonać pewnym podaniom, obrzędom, obyczajom, zabobonom, przesądom. Duch ludzki musiał, jeżeli nie tworzyć, to przetwarzać dawne zabytki, wspomnienia i karmić nimi uczucie i fantazją, jak publiczność obecna karmi się, niby chlebem powszednim, sztukami pięknymi i literaturą.

Czy wolno nam odtrącać z pogardą te zabytki ludowe, jak to uczynili wyniosłe klasyce z początku bieżącego stulecia, nieznając tych zabytków? Nie możemy nie przyznać prawa istnienia literaturze ludu i powinniśmy ją dźwignąć i do ducha czasu nastroić. Nie dwie lecz jedna tylko może być dziś literatura w danym narodzie, jak jedne są wewnętrzne prawa wymagań i pragnień duszy ludzkiej. Literatura narodu i literatura ludu mają się złączyć, wcielić jedna w drugą, bo przecież mowy tu nawet być nie może o zapanowaniu jednej po upadku drugiej; — w sferze ducha nie ginie, lecz tylko się wyrabia, uzacnia, uszlachetnia, podnosi i wyraźniejsze i doskonalsze podstawy istnieniu swemu gwoli zdobywa.

(Dokończenie nastąpi).

VANINA ORNANO

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

przez

J. K. S.

(Dalszy ciąg).

Scena IV.

Sampierro.— Vanina, *wchodzi* Hugo.

Hugo (*oddając głęboki ukłon Vaninie*)

Niespodziewanego gościa powitała dziś Korsyka... przebac, dostojna pani, że na twoje przybycie nie urządzimy wspaniałych uczt ani illuminacji.

Vanina (*na stronie*)

Wzrok tego starca zabija mnie. (*Usuwa się na bok*).

Hugo (*do Sampierro*)

Synu mój, czy ty nie wiesz o niczem? że tak dziwnie spokojny jesteś.

Sampierro

Jakto, o niczem — nie rozumiem.

Hugo

Czy wracając do domu przejeżdżałeś przez rynek w Corte?

Sampierro

Miałem po nieszczęsnej porażce innej już szukać drogi, a nie powracać tą, którą już razy tyle w tryumfie jechałem? Owszem, jak zwykle podniosłem przyłbicę hełmu na powitanie. Tłumnie zebrany lud widział dumne a spokojne oblicze moje: lud wie, że zrobiliśmy co tylko w ludzkiej było mocy; a więcej nawet i Bogowie nie żądają.

Hugo

Lud często od swych ulubieńców daleko więcej żąda! Jakże cię powitali dzisiaj mieszkańcy Corte?

Sampierro

Jak? milczeniem.

Hugo

Milczeniem...

Sampierro

Milcząc, i jakby zdziwieni, stali po obu stronach drogi; zdawało mi się, że uwierzyć nie mogli w niepowodzenie moje.

Hugo

Ulubieńcowi ludu zawsze powodzić się musi.

Sampierro

Ja powitałem ich słowem pełnym nadziei.

Hugo

A oni — mimo to jeszcze milczeli.

Sampierro

Tak.

Hugo

I ty nie zrozumiałeś głosu owego milczenia? Nie że ci nie mówi czarna otchłań grobu, choć milczy?

Sampierro

Owszem, zrozumiałem to, że na chwilę upadli na duchu; lecz nie dziwię się temu: ja sam byłem zwątpiały, zrozpaczony prawie.

Hugo

Oho, źle zrozumiałeś to milczenie, mój synu. W onem milczeniu było potępienie twoje; w onem milczeniu był syk stugłowej zdrady; był tam zgrzyt ostrzonych sztyletów; był dźwięk liczonego w myśli złota, — a ty nie dosłyszałeś tego!

Sampierro

Nie rozumiem cię, Hugonie, mów jaśniej, proszę cię.

Hugo

Czyż nie wiesz, że tysiące sztyletów zagraża ci tajemnie?

Sampierro

Mnie? tajemnie?

Vanina (*zbliża się przedko*)

Jemu... zagraża...

Hugo

Czy nie wiesz, że podłych ludzi wszędzie dość

się znajdzie, a Carlo Doria nałożył cenę na głowę twoją.

Vanina

Carlo Doria!... o Boże! Boże!

Sampierro (*z ironią*)

Tak? nałożono cenę na głowę moją? Doprawdy, to wieść niespodziana. Cenę na głowę moją! No i jakże też mnie oceniono, — powiedz-że mi, Hugonie.

Hugo

Na dziesięć tysięcy skudów.

Sampierro (*śmiejąc się*)

Dziesięć tysięcy i to gotówką, samem złotem zapewne—prawda? A wiesz, Hugonie, że to dosyć drogo... zaprawdę nie wiedziałem, żeby moja biedna głowa aż tyle była warta. I to sama? sama tylko głowa? bez tego dzielnego ramienia? O, to za drogo. Jednak, z drugiej strony znów bardzo przyjemnie, gdy nas ludzie tak wysoko cenią.

Vanina (*biorąc go za rękę*)

I ty tak spokojnie mówisz o tem?

Sampierro (*z ironią*)

Ot widzisz zakończenie naszej poprzedniej rozmowy: Carlo Doria wyciąga do mnie przyjacielską rękę—i to rękę nie próżną: trzyma w niej dziesięć tysięcy skudów, i da mi je jako zadatek wieczystej przyjaźni... jeśli mu tylko za to sam własną moją oddam. A jak to pięknie będzie brzmieć kiedyś w rocznikach Genui, że gdy nie mogli zwalczyć Sampierra Bastelico, nałożyli cenę na głowę jego, i ogłosili w całym kraju, że on jest zwierzem szkodliwszym od tygrysa, szakala lub wściekłego wilka! Obwieścili wszędzie, że przysługę ludzkości przyniesie, kto tego zwierza zabije... I zapisane będzie w rocznikach Genui, że Sampierro Bastelico długo błakał się po górach i lasach Korsyki, aż wreszcie podli ludzie znaleźli go, i zabiwszy zdradziecko, zanieśli głowę jego do Genui, aby się tam dopomnieć nagrody—a ciało tułacza Sampierra Bastelico nieopgrzebane zostało na szczytach gór i poroznosiły je szakale, sępy i kruki...

Vanina (*przerażona*)

Mężu, o mężu i panie mój, przez litość nad sobą, nademną—uciekaj... uciekajmy ztąd!

Sampierro

Uciekać?—dokąd? gdziekolwiek pójdę, zdrada się za mną wlec będzie.

Vanina

Mężu mój, ratuj drogą głowę swą...

Sampierro (*wybuchając śmiechem*)

A masz słusność, że droga! Dziesięć tysięcy skudów!—jest się na co pokusić. O, niech żyje Genua i Carlo Doria, gdy tak umieją cenić ludzi według ich wartości! Więc, Hugonie, to oobwieszczenie...

Hugo

Wszystkim już znane, prócz ciebie. Nawet na rynku w Corte słyszałem o tem, czytałem odezwy.

Sampierro

Jak to? tu nawet gdzie niema Genuńczyków? Któż tutaj był tak zuchwałym...

Hugo

Niewidzialna, płatna ręka rozrzuca pisma...

Sampierro (*chodzi po sali*)

Tu nawet... nie spodziewałem się. Ha... idę teraz do Corte, zdam Senatowi sprawę z ostatnich mych czynów—potem... potem udam się w góry—na głos mojego rogu zbiegną się wierni górale... staną wraz z nimi do ostatniej walki, a jeżeli trzeba będzie zginąć, drogą sprzedam życie swoje.

Hugo

Poznaję w tobie wychowanka mego. Chodźmy do Senatu; ale pamiętaj, że w chwilach niepowodzenia, zdrada i bunt głowy swoje podnoszą,—najmniejsze ustępstwo, jest abdykacja. Idźmy do Senatu; ale nie pozwalajmy rozszerzać się trądowi zdrady, odetnijmy jej łby węzowe, choćby katowskim mieczem; ufajmy we własną siłę, a lud w nią uwierzy i, ufając, nie odstąpi nas. Posiedzenie senatu zagajone; chodźmy niezwłocznie.

Sampierro (*idąc ku drzwiom*)

Chodźmy—a potem w góry.

Vanina (*na stronie*)

Ah, zapomniał o mnie!

Sampierro (*wracając powoli*)

Ciebie, moja biedna żono, żegnam. Kiedy się znowu zobaczymy i gdzie? Bogu jedynie wiadomo. Ja może jutro nie będę już miał gdzie skłonić głowy.... jestem z pod prawa wyjęty.... na śmierć skazany. Vanino, wracaj do swojej matki, albo... jeżeli wolisz, zostań tu, aż się wszystko skończy.

Vanina

Zostanę, o, zostanę.

Sampierro

Możeby lepiej było powrócić.

Vanina

Nie, nie, zostanę, zostanę.

Sampierro

Jak chcesz: nie chcę cię krępować wolą moją. Vanino, przebac mi, żem stanął na twojej drodze... ty tak byłabyś szczęśliwą! Oh, jakże trudno mi odejść. Kiedy i gdzie my się znów spotkamy? Może przed tobą, dziecino, Bóg uchylił choć jeden brzeg zasłony, co zakrywa przyszłość naszą. Powiedz mi, Vanino... może to nasze ostatnie pożegnanie?

Vanina

O nie, mój ukochany — tak nie rozłączają się ci, których Bóg połączył.

Sampierro

A więc będziemy się widzieć, powitamy się znowu?

Vanina

Powitamy się, może niezadługo, oto jutro może.

Sampierro

A więc do widzenia, żono....

Vanina

Do widzenia! Idź gdzie cię powinność wzywa....

Sampierro (*przytulając ją*)

Pamiętaj, że ci mówię tylko „do widzenia.“ (*Wychodzi wraz z Hugonem*).

Scena V.

Vanina sama, za chwilę Bianka.

Vanina (*stoi sama z załamanymi rękami*)

Boże, co za straszne położenie, jego i moje! Przed nim niema nic, jeno rozpaczliwa walka z wrogiem i mordercami... a ja, ja nieszczęśliwa mam ciągle dzień i noc drzeć o życie jego! Tak, noc innych snem spokojnym utula, ale do niego, zdradliwa noc sprowadzać będzie zabójców i wskazywać im gdzie on biedną głowę swą położył.

Bianka (*wchodzi*)

O biedna, droga moja pani! Czyż można się było spodziewać, że zamiast powitać młodego triumfatora, chwałą jaśniejącego ulubieńca ludu, zastaniesz...

Vanina

Skazańca, wyjętego z pod prawa... tułacza, na którego głowę nałożono cenę.

Bianka

Któż wydał ten straszny wyrok?

Vanina

Któż? pytasz jeszcze?

Bianka

Z drugiej komnaty nie mogłam dobrze dosłyszeć i zrozumieć.

Vanina

Wydał go Carlo Doria.

Bianka

Okrutnik!

Vanina

O Carlo, cożes ty uczynił! Czyż nie wiesz, że wraz z Sampierrem i ja zginąć muszę, że go na jedną nie przeżyję chwilę? Gdy ostatni raz widziałam Carla, gdy mu już powiedziałam, że ani ręki ani serca mego mieć nie będzie, że nie mu dać nie mogę, prócz dawnej, serdecznej przyjaźni, on, klęcząc przedemną, przysięgał, że i tak na zawsze zostanę panią myśli jego—że i tak zawsze gotów będzie przelać wszystką krew swoją, aby mi bodaj jednej łzy oszczędzić. A teraz on sam wydziera mi szczęście moje!

Bianka

Pani moja, nie rozpaczaj, nie załamuj rąk: jeśli Carlo wydał ten straszny wyrok, toż go może w każdej chwili odwołać.

Vanina

Odwołać? tak, masz słusność... Niech Carlo ten wyrok odwoła; niech walczą z sobą jak dwaj mężni rycerze: ale niech nie sprzedaje krwi mojego Sampierra; niechaj na niego płatnych nie nasyła zbójców. Carlo to zrobić może, on to zrobić powinien, on to musi zrobić dla mnie. Carlo mi tego nie odmówi... napiszę do niego... oh, poszłabym sama.... Lecz nie, napiszę.

Bianka

Obóz jego ztąd niedaleko, tak mi mówił Juanitto.

Vanina (*zamysłona*)

Napiszę... ale kto list zanieś?

Bianka

Juanitto zanieś: to bardzo roztropny chłopczyzna

Vanina

Podaj mi szkatułkę, i biegnij czempredzej; zawołać Juanitta. (*Bianka wychodzi na lewo. — Vanina sama*). Tak, napiszę do Carla—przypomnę mu tę chwilę pożegnania i dane przyrzeczenia; zakłnę go na cześć rycerską; spytam: czy szlachetny Doria taką bronią śmie walczyć z tym, którego ja kocham? Tak, spytam go: czy mu już zbrakło mężstwa do rycerskiej walki z mym mężem, że aż złotem opłaca sztylety mordercze? Powiem mu co ja przez niego cierpię. (*Bianka stawia szkatułkę na stoliku i wychodzi drzwiami w głąb*). — *Vanina pośpiesznie siada do pisania*).

Vanina

Moje słowa może sprawią na nim wrażenie, i odwoła ten wyrok... a potem może ci dwaj najzaniejsi mężowie, gdy ja stanę pomiędzy nimi, zbliżą się ku sobie, i podadzą sobie ręce... może pogodzą się, spokój i szczęście Korsyki zaczną się od tej chwili. A wtedy... oh, Boże, daj mi choć kilka chwil szczęścia obok ukochanego przeżyć! (*Pisze dalej*).

Scena VI.

Vanina pisze.—Wchodzi Bianka i Juanitto.

Vanina

Słuchaj, Juanitto, mógłbyś ty niepostrzeżony przejść do obozu Dorii z tym listem?

Juanitto

Dojdę do obozu i powrócę szczęśliwie, dostojna pani.

Vanina

A gdyby cię schwytano?

Juanitto

Nie lękaj się, dostojna pani, o służbę swego. Powinnością moją poświęcić życie dla ciebie, pani, ale nateraz nie będzie to jeszcze potrzebne. Od Korsykanów obroni mnie barwa, którą jako sługa twój, dostojna pani, noszę, a co do Genuńczyków, to brat mój który jest w obozie Dorii, przysłał mi list żelazny. Żadna straż zatrzymać mnie nie może.

Vanina (biorąc list w rękę)

A jeżeli ja tym listem co złego wywołam? Lecz nie — znam dobrze Dorię... O serce biedne moje, czemuż tak niespokojnie miotasz się w piersi, jakbyś pęknąć miało? (Daje przedko list Juanittoowi). Masz list... Juanitto, pamiętaj go niech nikt od ciebie nie bierze prócz wodza genueńskiego Carla Dorii.

Juanitto (kłęka i bierze list)

Choćbym miał zginąć, nikomu innemu go nie oddam, tylko samemu Dorii. Odpowiem godnie zaufaniu twemu, pani.

Vanina

Pani twoja życie ci swoje powierza.... Idź z Bogiem, Juanitto.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Lipcu.

Jaką potęgę w pracy społecznej stanowią stowarzyszenia, wymowny daje tego przykład galicyjskie Towarzystwo Pedagogiczne. O niem zamierzam dziś obszerniej pomówić z dwóch powodów: raz dlatego, iż należy ono do szczupłej liczby tych stowarzyszeń, które na galicyjskim gruncie przyjęły się, dowodząc utrwaleniem swojego bytu, że nie wzrosły z kaprysu, ambicji albo próżniactwa jednostek, ale wydoły się z głębi pocutych silnie potrzeb społeczeństwa. Powtóre, obszerniejsze wspomnienie należy się Towarzystwu w tej chwili, i dlatego, że święci ono w bieżącym roku dziesięciolecie jubileusz swego istnienia. Niezbyt to długi przeciąg czasu, i mógłby kto powiedzieć, że na święto jubileuszowe za rychło, a przecież w tym wypadku nie zdaje mi się, ażeby chwila była zawczesną. Stowarzyszenia zagraniczne rozwijają się mniej więcej wśród stosunków prawidłowych, u nas tylko zachodzi pewien stosunek odrębny, który wpływa mniej pomyślnie na zdrowy tok pracy publicznej. Jeżeli przeto w naszych stosunkach Stowarzyszenie jakie w krótkiej przestrzeni dziesięciolecia rozwinię się w sposób tak potężny, jak Towarzystwo Pedagogiczne, to ma ono prawo stwierdzić wobec samego siebie chlubną świadomość spełnionego obowiązku obywatelskiego, ma prawo powiedzieć do kraju i do pokrewnych sobie dążności albo ustrojem stowarzyszeń:—Oto popatrz, jakimi szłom drogami do moich celów, zważ, abyś z równym skutkiem doszedł do twoich. W ten to sposób jubileusz dziesięciolecie Towarzystwa Pedagogicznego może stać się dla wielu nauką i wskazówką.

Zadaniem Towarzystwa jest piecza i obrona in-

teresów, zarówno moralnych jak materyalnych, zawodu nauczycielskiego w Galicyi, a temsamem, jako naturalny wynik, rozwój i podnoszenie szkolnictwa krajowego. Celu tego dopięto Towarzystwo w tak wysokiej mierze, iż powodzenie prac i usiłowań jego nabiera znamion zasługi publicznej wobec kraju. Szkoła, jakkolwiek będzie ustawami wskazana jej organizacya, nie może być nigdy lepszą od swego nauczyciela; gdy przeciwnie może być lepszą o wiele od swjej organizacyi. Dlatego dobry nauczyciel stanowczo więcej wart od dobrej ustawy szkolnej—naturalnie w pewnych granicach, bo gdzie ustawy szkolne pragną być zmię, ażeby szerzyć, jak u nas do niedawna, nie światło, ale ciemność, tam nawet Salomonowa mądrość nauczyciela niewiele mogłaby pomódz.

Otóż Towarzystwo Pedagogiczne dało krajowi dobrych nauczycieli ludowych. Co to znaczy?—zapytałby kto—wszakże Towarzystwo nie wychowuje, nie wykształca nauczycieli; na to są przeznaczone szkoły, seminaria, examina. Że Towarzystwo pedagoga nie wykształca w znaczeniu ścisłe szkolnem, metodycznem, na to zgoda, bo ono nie jest zakładem naukowym i ma do roboty już z ludźmi fachowo przygotowanymi, z ludźmi, że tak powiem, dla swego zawodu gotowymi. Nauczyciel posiada patent ze złożonych examinów, i oto prawny tytuł bez oglądania się na prywatne Towarzystwa. Ale gdyby kto twierdził, że Towarzystwo takie, nie wychowuje nauczyciela, to jużbym sobie pozwolił zaprzeczyć.... Nauczyciel ludowy po ukończeniu seminaryum i złożeniu examinu, jest dopiero gotowym nauczycielem, nie zaczął być jeszcze w podnioslejszym znaczeniu słowa, obywatelem, w całej humanitarnej godności pojęcia—człowiekiem. Szkołę i naukę kocha dopiero, jako kawałek chleba, a nie jako posterunek społeczny. Uczy dźwiatwę dlatego, bo w kassie rządowej płacą mu za to miesięczną pensję, ale nie dlatego, że oświata jest przyszłością kraju, że ten upośledzony nauczyciel wiejski ze swym elementarzem w rękę, to kto wie, czy nie większy, niż starożytny Cezar, oparty na swoim mieczu.

Pewne przecucia tej godności obywatelskiej i tego obowiązku wobec sprawy publicznej wynosi już niewątpliwie młody adept pedagogii, ze swego seminaryum; ale są to jeszcze nieokreślone, ogólnikowe pocięcia, które rozwija, utwierdza, rozszerza praktyka życia, jeżeli sobie znajdzie rozumny drogowskaz. Bo inaczej przecucia zmarnieją, jak kwiat na jałowym polu, i młodzieniec z jakim takim zapałem, rzucający się z rydlem nauki na glebę społeczną, opuści z czasem rękę, zagasi w sobie wszelki ogień zacnych uczuć i potoczy już wózek swego zawodu, bez istotnej przyjemności, bez przekonania—oto! aby przetrwać lata służby i prześlizgnąć się przez życie, które nie dało mu ani wielkich zawodów, ani wielkich rozkoszy. Otóż przeciw takiemu zjałowieniu duszy w człowieku, poświęcającym się wychowaniu młodych pokoleń, reakcyę stanowią te zasady, poglądy i pocięcia, które w łonie krajowego nauczycielstwa ludowego krzewi i wychowuje nasze Towarzystwo Pedagogiczne. Ono, wiążąc ten stan w jeden, cementem moralnym Towarzystwa spojony zastęp, napawa go świadomością siły zbiorowej, odejmując jednostce, rzuconej nieraz w ciasną sferę obcej, ciemnej, ubogiej wioski, poczucie osierocenia i wyosobnienia zpośród społeczności; ono wytwarza solidarność interesów i dążeń, zbliża nauczycieli do kraju, do jego potrzeb, zapoznaje ich z obowiązkami obywatelskimi zarówno, jak z postępiami szkolnictwa za granicą, z rozwojem metody pedagogicznej; ono rodzi w nim tę krzepiącą ducha świadomość, że poza nim i obok niego stoi ktoś, kto troszczy się o jego dobro i myśli o polepszeniu jego bytu, uważając to za wspólną sprawę nauczycielskiego zawodu,—a nawzajem, że ponad nim rozwija się interes wyższy, szerszy podnioslejszy od osobistych jego celów i widoków, interes kraju. Tylko dobroczynnemu działaniu Towarzystwa, a przedewszystkiem rozumnemu wpływowi jego zarządu, przypisać i zawdzięczyć należy to rozszerzenie się poczucia społecznego w najniższej nawet warstwie nauczycielstwa, tak, iż nigdy prawie z jego łona nie wydobywa się głos, który uraziłby nas niemile, duchem wyłączności lub niezadowolonia, przesadną pretensją lub ja-

skrawą zawiścią ku innym, lepiej materyalnie uposażonym warstwom. Ażeby takie poczucie utrwalić w tych kołach, łączyło zawsze Towarzystwo ze swem działaniem w tym kierunku także gorliwą pieczę o materyalne interesa zawodu nauczycielskiego, i nie zaniechało żadnej sposobności, nie pogardziło żadnym godziwym środkiem, nie ominęło żadnego czynnika władzy, byle dla nauczycielstwa ludowego wyjednać lepsze uposażenie. Dziś już tak rzeczy stoją, że każdy nauczyciel według ustawy pobierać powinien co najmniej 300 zfr.

Wpływ towarzystwa skierowanym jest głównie ku zastępstwu interesów nauczycielstwa ludowego, a to wskutek faktu, iż głównie nauczyciele ludowi takiego zastępstwa potrzebują, i że oni dostarczają największej liczby członków Towarzystwu. Nauczyciele szkół średnich nie zbliżyli się dotąd do Towarzystwa w ten szczyry, duchem koleżeństwa nacechowany sposób, jaki tutaj byłby pożądanym. Odzywają się na to w łonie Towarzystwa utyskiwania, dotąd bezowocne. Nie należy jednak sądzić, ażeby przedział był zupełnym, uprzedzenie zasadniczem. Jestto raczej obojętność, wypływająca z zarozumiałego *fara da se*. Najinteligentniejsi jednak z professorów gimnazjalnych należą do Towarzystwa oddawna i stanowią najsilniejszą jego podporę, siłę i ozdobę. Przeważną część zarządu składała się zwykle i składa obecnie, z professorów szkół średnich, którzy z prawdziwym koleżeństwem zajęli się losem młodych braci.

Przedmiotem opieki Towarzystwa nie jest wyłącznie nauczyciel, ale i sama szkoła. I owszem—bez przesady powiedzieć można, iż Towarzystwo więcej dotąd pracowało nad obmyśleniem wzorowych metod, nad przekształceniem ducha szkoły, zapleśniałego po długim suchotniczym żywocie, jaki pędził pod rządem władz niemieckich, nad reorganizacyą wszelkich zakładów naukowych w kraju i w ogóle nad sposobami podźwignięcia naszych stosunków szkolnych. Towarzystwo niezmordowanie czuwało nad szkołą, jej rozwojem, udoskonaleniem planu nauki, spożytkowaniem owoców pedagogii i dydaktyki postępowej; starało się przyswajać szkolnictwu krajowemu wszystkie zdobycze zagraniczne, przesadzając je na grunt swojski, o ile z naturą społeczeństwa, z tradycyą wychowania ojczystego, z pojęciem rodziny licowały. Towarzystwo nie ma w rękach ustawodawczej władzy, nie może wydawać uchwał obowiązujących, ale jako ciało fachowe w rzeczach szkoły, mogło ono działać — i działało też nader skutecznie — drogą memoriałów, projektów do ustaw i t. p., wnoszonych bądź to do sejmku, bądź do rady szkolnej i wydziału krajowego. Żaden z tych czynników ustawodawczych nie mógł lekceważyć zbiorowego głosu całego nauczycielstwa krajowego; to też, wiele, bardzo wiele z tego, co na polu reform szkolnych w Galicyi dokonano, zawdzięczyć należy energicznej i twórczej inicjatywie Towarzystwa.

Założone ono zostało w r. 1868 na wniosek dzisiejszego dyrektora gimnazyumu tarnowskiego, profesora Bronistawa Trzaskowskiego. Podzielone jest na oddziały czyli filie, rozsiane po całym kraju, obok których grupują się znowu kółka pedagogiczne, tworzone głównie w celu odbywania konferencyj nauczycielskich, wspólnego nauczania się zapomocą wykładów i t. p. Kółko takie stanowią nauczyciele kilkunastu gmin sobie najbliższych, sąsiedzkich. Towarzystwo liczy obecnie 2,424 członków, podzielonych według zawodu i charakteru społecznego na następujące kategorie: 52.44% ogółu członków tworzą nauczyciele ludowi (a więc przeszło połowę), 7.12% nauczyciele szkół średnich, 1.24% professorowie Uniwersytetów i Akademij technicznych, 0.62 nauczyciele szkół innych kategorii, 10.08 nauczycielki. Razem stan nauczycielski wszelkich odcieni dostarcza Towarzystwu 1788 członków. Reszta z liczby 2,424 składa się z 11% cz. inteligencji: literatów, urzędników, lekarzy, adwokatów i t. d., 5.42% księży, 3.46% właścicieli dóbr ziemskich, 2.98% fabrykantów i rękodzielników, 5.64% zawodów rozmaitych. Wogóle przypada więc 74% na stan nauczycielski, 26% na wszelkie inne; Towarzystwo nosi przeto charakter prawdziwie zawodowy.

Pierwszym prezesem Towarzystwa, po założeniu go, obranym został był profesor Uniwersytetu

lwowskiego, dr. Jozafat Zielonacki, pierwszym wice-prezesem pan Stanisław Sobieski, dyrektor gimnazjum w Rzeszowie, jeden z najrozumnijszych i najzdrowiej istotę szkolnictwa pojmujących pedagogów. Następnie dzierżyli ster Towarzystwa, jako prezesowie: Karol Maszkowski, professor politechniki lwowskiej, dr. Felix Strzelecki, również professor tejże i członek Akademii Umiejętności, i pan Zygmunt Sawczyński, obierany stale na tę godność od r. 1873, członek krajowej Rady szkolnej, dyrektor seminarium nauczycielskiego we Lwowie, uchodzący za wielką powagę na polu pedagogicznym.

Dochody Towarzystwa wynosiły, od jego zawiązania, 146.509 zł. reń. Jeżeli przyjrzymy się im bliżej i zbadamy ich źródła, kwota ta, sama przez się dosyć znaczna, nabierze w oczach naszych imponującej powagi. Wszakże widzieliśmy, że większą połowę członków Towarzystwa stanowią nauczyciele ludowi, których płaca rzadko kiedy przekracza 300 złr. Otóż summa powyżej wymieniona urosła z grosza, odjętego, że tak powiem, od ust najuboższych, na cele dobra wspólnego. W cyfrze tej wynoszą zasiłki sejmu, wydziału krajowego i innych instytucyj, tylko 20,880 złr.; reszta uzbierała się nie, tak rozgałęzioną u nas, zwłaszcza w towarzystwach akademickich, zebranią, ale udziałem bezpośrednio interesowanych. Majątek czytelników Towarzystwa, w gotówce, w książkach, przyrządach szkolnych i t. d. wynosi obecnie 24,431 złr.

(Dokończenie nastąpi)

Z poezji Heinego

W przekładzie Adama Mieleszki.

POWRÓT.

XXIII.

Piękna rybaczko! za fali biegiem,
Szybciej swą łódką do łądu płyn;
Daj mi twe rączki, usiądź nad brzegiem;
Żagiel na długą pogodę zwiń.

Niech cię nie trwoży obcy przychodzień:
Na mojem sercu swą główkę złóż;
Wszak się nie lękasz życie swe codzień
Zwierzać otchłani szalonych burz...

I w mojem sercu, jak na tem morzu,
Szaleją wichry, uderza prąd;
I mego serca—w uczuć przestworzu,
Niejedną perłę ukrywa głąb.

POLĄCZENI NA ZAWSZE

POWIEŚĆ

PRZEZ

Elizę Polko

przełożyła

Ewelina Kłoskowska.

(Dalszy ciąg).

Bal maskowy w eleganckich salonach książęcego pałacu nawet w wielkiej stolicy nie mógłby być świetniejszym, tak eleganckie były stroje, tak wspaniałe całe urządzenie zabawy. Tylko intrygi maskaradowe były tu niemożliwe, gdyż pod najtroskliwszym przebraniem poznawano się łatwo. Krawcowe i krawcy pomimo najświętszych zakleć

milczeć nie umieli i tak, gdy tylko kto odważył się kogo wyzywająco zagadnąć, natychmiast zadziwiony poznał z odpowiedzi, że jest odkrytym. Pani Górzycka ukazała się też w zwykłym stroju balowym, gdy p. Strusiowa w kostiumie à la Pompadour zastępowała z wdziękiem gospodynię domu. Było na tym balu mnóstwo pasterek arkadyjskich, ogrodniczek i rybaczek włoskich, a książę był obsypywany zewsząd komplementami za poświęcenie się dla przyjemności ogółu i zyskał niemało kwiatów i strzał Kupidyna, posłanych mu pod postacią spojrzeń i uśmiechów. Okazywał się nader uprzejmym jako gospodarz domu i całe towarzystwo było mu nadzwyczaj wdzięczne, gdy w godzinę dał znak demaskowania się; panie były z tego rade, bo fantazyjne stroje zawsze podnoszą wdzięki kobiet! Na każdym kroku spotykano się z obrzymiami zwierciadłami, gdzie to można było sprawdzić i teraz dopiero poczęto się bawić doskonale, rozwijać zasoby dowcipu i kokieterji; zabawa dochodziła zenitu, gdy w kostiumach rokokó ukazali się nagle muzykanci i zagrano poloneza. Książę podał rękę p. Strusiowej, w drugiej parze za niemi szła panna Jadwiga z p. Janem Strusiem. Jak pstry i błyszczący wąż wił się teraz pochod przez szereg sal i pokoi, a Waclaw prowadził prezydentową Krzeczowską, lecz przy zamianie pań obaczył się nagle obok Jadwigi. Zwracając ku niemu twarz bladą i patrząc mu w oczy prosząco, rzekła: — Proszę o odpowiedź.

— Chcę! odpowiedział Waclaw żywo, lecz puścił w tej chwili małą rączkę, po którą ktoś inny sięgał. Z lekkim rumieńcem na twarzy Jadwiga skłoniła mu głowę z uśmiechem i taniec szedł dalej.

Tego wieczora, ku największemu zadowoleniu prezydentowej, Waclaw tańczył kilkakrotnie z jej młodszą córką i prowadził starszą do kolacyi. — Czy można powinszować?! szepnęła p. Strusiowa uszczęśliwionej matce. Przecież przechodząc koło Waclawa szepnęła z cicha: — Baczność! niema tam majatku.

Potem strzeliła oczyma w stronę panny Róży Radońskiej i dodała: — Pomimo, że już niemłoda i niepiękna, ale najbogatsza partya w okolicy!

— Jak pięknie wygląda dziś pani Górzycka! — rzekła wkrótce potem panna Róża Radońska, do której p. Strusiowa gwałtem pociągnęła Waclawa. Książę, zdaje się, wdziękiem jej zachwycony, co widocznie gniewa p. Strusiową, bo ma tę małą słabostkę, że chce być uważana za najpiękniejszą. Jest starsza od pani Górzyckiej i słusznie książę oddaje tamtej palmę piękności. Tryumfem tym najwięcej ucieszony jest mąż. Czy pan uważa jak jest zupełnie pozbawiony zazdrości? Wszystkich nas zachwyca ta swoją szczególną enotą, bez której też nie służyłby mu może wciąż tak dobry humor, z jakiego słynie teraz.

Z czegoż to pani wnosisz, jeśli wiedzieć wolno — zapytał Waclaw. — Łatwo odgadnąć — odparła p. Róża. Mąż innego usposobienia nie byłby rad z tego, że żona pozwala tak nadskakiwać sobie księciu. Para ta — dodała po chwili — różni się bardzo, gustami przynajmniej. Pani jest melancholiczna, lubi dom, muzykę i podobno poezję; pan chciałby żyć wesoło, dawać bale i bywać na nich. Z wielkim trudem przychodzi mu wyprosić od żony, że raz na rok jest u nich wielkie zebranie. I do Strumiłowa pewnieby nikogo nie zaprosiła, gdyby to od niej tylko zależało! Żona przecież powinna się stosować trochę do upodobań męża, zwłaszcza gdy mu się zawdzięcza wszystko. Była to uboga panna; Górzycki mógł sięgać po najświetniejszą partyę; ożenił się przecież dla pięknych oczu.

Panna Róża zaśmiała się szyderczo. — Mężczyźni uważają się za mocnych, a prawdziwie są stokroć słabsi od nas... dodała.

— Mężczyźni słabną wobec pań — odparł Waclaw także szyderczo, choć niby z intencją komplementu. Myśli jego odbiegały podczas obojętnej rozmowy wciąż do jednej i tej samej rzeczy: do owego „Chcę... z którego teraz nie był zadowolonym. Głos Jadwigi, jej spojrzenie, wywołały stanowczą odpowiedź, słowo wyroczone, na które nie był zdecydowany jeszcze. Lecz Jadwiga miała może słusność: skoro okręt żywota utracił zagłę miłości, należało przynajmniej uratować maszt

przyjaziń, gdy na to okoliczności składały się same. Mógł widywać Jadwigę, mógł być w jej domu jako dawny znajomy i przyjaciel i być tym przyjacielem. Wymógłszy raz na sobie darowanie przeszłości, mógł czuć dla Jadwigi spokojną, łagodną zyczliwość przyjaźni i w ten sposób wytrącić sobie z serca to uczucie goryczy, które je zalewało teraz. Czy przecież i Jadwidze stosunek ten przyniesie przyjemność jaką? Dlaczegoż właściwie życzyła sobie tego? Czyż jej towarzystwo jego jest tak potrzebnem i zawsze tak miłym będzie? Czy otwartość jego postępowania nie będzie jej przykrą? Co powie, gdy on jej stosunek do księcia zgani, słowem, gdy jej się narzuci na mentora, co stać się musi, skoro tylko pragnie, aby szczerze i prawdziwie był jej przyjacielem?

Co skłaniało ją do uczynionego kroku? Czyżby w życiu jej była tajemna próżnia, którą on ma zapełnić? Czy rzeczywiście potrzebowała przyjaciela, czy może nowej zabawki? Te i tym podobne pytania zadawał sobie Waclaw nieustannie.

Nie zbliżył się wcale do niej na balu, lecz spotkał ją przypadkiem, gdy wychodziła. Było to już w przedpokoju; wszedł tam, gdy mąż assystował jej przy podawaniu futra przez lokaja. — A... zawołał, ucieszony na widok Waclawa — zjawiasz się pan w samą porę. Masz zamiar wyjść, wszak tak? Czy zatem mogę pana prosić, abyś był tak łaskaw odprowadzić moją żonę do powozu? Zajedzie w tej chwili, posłałem służącego, bo moja pani dostała migreny, a ja jeszcze nie skończyłem partyi. — Do widzenia, chérie, najdalej za godzinę mam i ja nadzieję wywinąć się. Proszę, uważaj trochę na bukiet księcia, byłabyś go już zostawiła w sali. Prześliczne te róże zasługują, aby przecie choć do jutra zdobyły twój budoar. Ale à propos jutra, proszę przyjdź pan do nas wieczorem na pogadankę? Dobranoc! Oddawszy żonę w tak pewne ręce jestem już niepotrzebnym... au revoir...

Wrócił do sali a Waclaw podał rękę Jadwidze, aby ją poprowadzić przez wschody. — Czy rzeczywiście panią boli głowa? zapytał, gdyż mu się jej twarz bladejszą wydała, niżli przedtem.

— Nie — odpowiedziała z uśmiechem — tylko jestem zmęczona, śmiertelnie zmęczona. Widzisz pan jak robię początek w otwartości. O migrenie mówiłam ludziom, przyjacielowi powiadam szczerze: — Nie... nic mi nie jest, nic mnie nie boli, nie dolega mi...

Spojrzała wesoło a on odparł: — To ja pierwszy byłem nie po salonowemu otwarty; wszak spytałem panią, czy rzeczywiście jesteś słaba? Ale obawiam się, czy pani będziesz zawsze zadowolona z otwartej twarzy i otwartej mowy?

— Och, dozwól mi pan tego szczęścia! zawołała Jadwiga żywo. Od wielu już lat postradałam wszelkie takie uczucia, jak obawa, przyjemność, niespodzianka; pan wrócisz mi je teraz. Być czasem zgromioną, lękać się kogoś, myśleć co on pomyśli? o... to tak miło. Przypomnij pan sobie, że była zawsze taka: potrzebująca oparcia.

— Przeszłość już mi się całkowicie wygładziła z pamięci — odparł Waclaw, a ręka, która spoczywała na jego ramieniu zdrząła. Jadwiga spuściła oczy, lecz po chwili rzekła spokojnie: — To jest początek otwartości... Dobrze... tak być powinno...

Stary sługa ukazał się, donosząc, że powóz już zajechał. — Chodźmy — rzekła Jadwiga żywo, a z pod białego kaszmirowego kaptura z obłożeniem ląbedziego puszką ukazała mu się jej twarz, uśmiechnięta i tak jasna, tak różowa, że prawie z przestachem spoglądał na nią.

— Jak to dobrze, że w tej chwili nikt pani oprócz mnie nie widzi, bo od razu przestanoby wierzyć w migrenę.

Uciekając z tego balu przypominasz pani pensyonarkę na jeden dzień uwolnioną z klasztoru i jadącą na wieś łapać motyle.

— Ze mną też dzieje się coś podobnego — odparła. Trud balowy cięży tak zawsze na mnie... jak karność klasztorna na pensyonarkach. Ale gdzież są róże księcia? zapytała, spostrzegłszy, że nie ma w ręku bukietu. Andrzej musiał je wziąć ode mnie... Pewno go wziął — dodała. — Należały i one do ciężaru balowego, a patrz pan, co już tego mam...

— Pokazała wachlarz, koronkową chusteczkę i flakonik zaczepony na palcu. Waclaw mimowoli

Ustępy z dziennika Jadwigi.

prawie wziął jej z ręki piękny koronkowy wachlarz. Tak było cicho na szerokich wschodach, pomiędzy wysokimi laurowymi drzewami, mirtami i oleandrami, że słychać było szelest jedwabnej jej sukni. Służby też nie było widać wcale. Wacław spoglądał w milczeniu na tę postać kobiecą, na jego ramienia wspartą, i niebezpieczna myśl uderzyła go w tej chwili.

— „Cobyś czuł, gdybyś miał prawo towarzyszenia jej dalej, gdyby twoją była, twoją żoną?“ zapytywał go głos jakiś. Nie nie przeszkadzało mu w tem jego odurzeniu. Jadwiga milczała, coraz wolniej postępując. Zdała brzmiała muzyka balowa.

W tejże chwili kapiszon opadł jej z głowy na ramiona i wstrzymała się, a on pochyliwszy się, ujął lekko wykwintne okrycie i znowu umieścił na ciemnych lokach, których dotknął palcami. Ona pozwoliła mu to czynić, patrząc na niego jakby we śnie. Wzrok jego przebiegł po jej twarzy, a ból, jakiego pierwaj nigdy jeszcze nie doznawał, rozdarł mu serce: — Stracona, stracona na całe życie, na zawsze! zawołał w sobie. Proszę, pani, chodźmy trochę prędzej, gdyż obawiam się, czy tu dla pani nie za chłodno — rzekł głośno, prawie ostrym tonem. Ona osłoniła się lepiej labędziemi puchami wstrząsłszy się, jakgdyby rzeczywiście czuła mróz. — Tak, masz pan słuszność — rzekła — chłód przenikający jest aż do serca.

U stóp wschodów stali słudzy. Powóz zajechał. Wacław pomógł wsiąść białej postaci. — Dobranoc — odezwały się dwa głosy. Mała rączka zasunęła okno powozu. Konie popędziły: znikło marzenie.

Wacław ujrzał się sam wśród ciemnej nocy, z małym, delikatnym czemś w ręku, z wachlarzem z białych koronek, woniących fiołkami. A przed nim na ziemi leżały rozsypane róże, podarek dostojnego gospodarza balu, które znać Andrzej, otwierając drzwiczki powozu upuścił.

Tygodnie minęły od czasu owego balu w książęcym pałacu; Wacław był odtąd prawie codziennym gościem w domu Górzycznych. Ukazywał się także na przyjęciach wieczornych; rzadko zastawał Jadwigę samą, ale ton, jaki z nią przybrał był tak poważnym, że nie zmieniałby się nic, gdyby byli sami. Zdawało mu się jednak, że jest weselszą i nie tak zmienną w usposobieniu, jak ją dotąd widywał. Za jego radą wzięła się znowu do ulubionego zajęcia panińskich czasów, do malowania krajobrazów i kwiatów, a potem dawała mu swoje prace do przejrzania. Zawsze znajdował tękę rysunkową na jej biurku w budoarze i siedział nad nią długo, nieraz samotnie, zmieniając i poprawiając, podczas gdy inni goście zabawiali się w salonie. Czasami robił uwagi ołówkiem na kawałku papieru, tyżące się tychże poprawek. Zdawało się też, że za następną bytnością znalazł u spodu swej uwagi żartobliwą odpowiedź, która jego znowu do odpowiedzi powodowała. Niebezpieczne marzenie, które go było opanowało, gdy Jadwiga wsparta na jego ramieniu schodziła ze wschodów książęcego pałacu, powtarzało się jeszcze czasem, ku przestrachowi biednego, powracało gdy przy biurku Jadwigi przy małej lampce, otoczony temi różnemi drobiazgami, których ona dotykała się codziennie, siedział sam jeden, jakgdyby posiadając prawa, jakich nie miał kto inny. Natenczas zapominał o rysunkach, zakrywał ręką oczy i oczekiwał tajemnie na szmer sukni od drzwi wchodowych, na ten zachwycający szelest jedwabiu, wlokącego się po posadzce i lekki zapach fiołków. A nieraz zdarzało się, że Jadwiga wchodziła rzeczywiście i pytała: — „Czy długo jeszcze nie przyjdiesz pan do nas?“ — Potem stała czas jakiś obok niego i patrzyła przez jego ramię na rozłożone przed nim rysunki, a on czuł, że oddech jej przebiega wskroś jego włosów, zawsze przecież zimne i dobrze obrachowane były słowa, któremi odzywał się wtedy do niej.

Z wyniosłą dumą męskiej siły mawiał sobie potem: — Żadnego niebezpieczeństwa być nie może, bo ja tego nie chcę!

Już nie mogę dłużej zamykać w sobie ciężaru myśli i uczuć: muszę przemówić, a przecież niema nikogo na całym szerokim świecie, przed kim mogłabym się wynurzyć szczerze i zostaje mi tylko papier... Wracam więc do dawno już zapomnianego dziennika, tej zabawy panińskiej i przewracam poźółkę przez czas kartki. Jakże tu wszystko zdaje mi się obcem dziecinem: pismo, przysłowia i wierszyki miłosne, sentymentalne opisy zachodzącego słońca a wschodzącego księżyca, lament po stracie ptaszka, po nieudanym spacerze z powodu niepogody! Ile słów, z przyczyny tak małych bólów i radości!

Czy też tak samo myśleć będziemy kiedyś, gdy drogę boleści życia naszego przebiegnąwszy, zamienimy terazniejszy nasz byt na inny i dziennik naszego ziemskiego istnienia przeglądając będziemy?! Szczególniejsza jest to rzecz, że pokochawszy stałam się lakoniczniejszą i notowałam jedynie: — Siedziałam z Wacławem... Dziś z nim tańczyłam... Na górze z nim byłam... Szukaliśmy fiołków. Dziś śpiewaliśmy razem.

Ani słówka więcej, a te krótkie frazesy budzą jednak takie wspomnienia błogości, jakich piórem opisać nie można! Potem przychodzą zasuszone kwiaty, ozdobnie ułożone i przyklejone żdźbła trawy, rysunki. Na jednej takiej karcie napisałam: — Musimy razem Rzym zwiedzać!... Boże! Boże! jak byłam szczęśliwa i naiwna wtedy!... Od tego czasu zaczęliśmy się oboje uczyć po włosku. Wkrótce potem następuje notatka: Dziś poznałam pana Górzycznego, przyjaciela mego ojca. Uśmiełam się z niego, kłania się w tak szczególny sposób i chce mnie zawsze w rękę całować. Mama zaś życzy sobie, abym dla niego była bardzo grzeczną i uprzejmą, opowiada mi jak jest bogatym, jakie ma piękne dobra: Strumiłowo. Przyjemna-to rzecz być bogatym, płacić wszystko gotówką i nie mieć nigdy długów. Wacław nie jest mającym, mama mi to bardzo często powtarza!

Na cóż ja to wszystko czytam, aż do ostatniej notatki biednego panińskiego dziennika? Smutnie, krótko się kończy: — Mama chciała tego koniecznie!

D. 11 Maja 185... to data mego ślubu. Ostatniego kwietnia Wacław odjechał i obaczyłam go dopiero w dziesięć lat potem.

Mama zaraz po moim ślubie popłaciła nieszcześnie swe długi. Mąż mój dopomógł do tego, uregulował jej interesa i mogła jeszcze przez dwa lata jeździć do wód, do Baden, do Karlsbadu, a gdy umierała, powiedziała mi: — Dalaś mi szczęście... Niech cię Bóg błogosławi!

— Ośm lat od tego czasu minęło! ośm lat głębokiej serca mego żałoby, samotności, aż nagle pojawił się znów Wacław — moje światło! me szczęście! a razem i me cierpienie!

Gdy go znowu zobaczyłam, było to jakgdyby ze snu przebudzenie i pytałam sama siebie: — Jak mogłam żyć tak długo bez niego?! Teraz dopiero czuję, jak duch zwolna zamierał we mnie, jak smutną i nieszczęśliwą jestem!

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż d. 4 Sierpnia 1878 r.

Wystawa Powszechna nie zmieniła tu wcale zwyczajnego porządku rzeczy, *curriculum vitae*, we Francji; jest toż samo co wczoraj tylko więcej trochę widać oryginałów w teatrach i traktyniach, gdzie stroje cudzoziemskich kobiet szczególnie i najdziwniejsze akcenta francuzkie sprawiają radykalną dywersję na tle, zbyt szarem może, zwykłego, brukowego mrowiska. Aby się utrzymać przyjętego zwyczaju, wystawa doroczna artystyczna na Polach Elizejskich oddawna już otwarła swe wrota na przyjęcie zwyczajnych i nadzwyczajnych gości. I nam też nie wypada ominąć tego widowi-

ska, na które zapraszają nas uprzejmie imiona polskich artystów.

Nawał obrazów jest zawsze ten sam co i lat przeszłych i jak zwykle pięknych obrazów mało, miernych podostatkiem, a złych bez liku! Najdziwniejszym fenomenem tej wystawy jest *Apoteoza Thiersa* p. Viberta. Mielśmy wiele dziwnych rzeczy na artystycznych wystawach; mieliśmy już idealistów, realistów, impressjonistów — ale obrazu takiego jak niniejszy dawno już oczy nasze nie oglądały. Trudno pojąć, jak człowiek z talentem i prawdziwą znajomością swej sztuki, bo na tem temu malarzowi nie zbywa wcale, rzucić się mógł na przedsięwzięcie tego rodzaju, i rzucił się, jak to powiadają, nieproszony i niedziękowany. Najpierw sama historia utworzenia tego obrazu pokazuje, że malarz szukał bardziej rozgłosu i materialnych korzyści niż poetycznego i patriotycznego natchnienia. Projekt ten miał się zrodzić w pracowni Meissoniera, któremu rodzina i przyjaciele Thiersa powierzyli wykonanie szkicu zaraz po jego śmierci. Pan Vibert oświadczył chęć swoją wykonania wielkiego obrazu wraz z jednym z ulubionych uczniów Meissoniera p. Detaillem. Meissonier, uważając ten projekt za dziwny i niestosowny, nie tylko obmówił udzielenia swojego szkicu, ale oświadczył się wręcz przeciw temu i skłonił pana Detaille'a do opuszczenia projektowanej spółki w wykonaniu. P. Vibert zwrócił się wówczas do samej p. Thiersowej i do p. Barthelemy St. Hilaire'a, gdzie dostał również odmowną odpowiedź. Niezrażony przeciw artysta, wytrwał przy swoim, bo spodziewał się, że albo rząd, albo ostatecznie liczni wielbiciele i zwolennicy Thiersa otworzą mu drogę do Muzeum Luxemburskiego: *sed spes fefellit illum!*

Zdawałoby się, że w czasach, w których żyjemy, idea apoteozowania jest już przestarzała i że w szkole nowożytnej malarstwa nie znajdzie ani miejsca, ani przedstawiciela zużytej formuły. Stało się inaczej. Pan Vibert dał nam tedy *Apoteozę Thiersa*, a jak ją pojął i wykonał — zobaczmy.

W pośrodku obrazu, którego rozmiary są wielkości *Unii* Matejki, Thiers umarły spoczywa na spizowie łożu, które na czterech rogach podtrzymują również spizowe koguty. Głowę zmarłego widać z profilu, a ciało okryte białym prześcierałem ukrywa się w części pod fałdami trójkolorowej chorągwi, którą stojąca w żałobie u nóg łoża kobieta, wyobrażająca zapewne Francję, wypuściła z osłabionych żalem rąk swoich. Biust, to jest piersi nieboszczyka, na tle białego prześcierała, zasypiane są nieskończoną liczbą wstęg i orderów, które posiadał A. Thiers. Zauważmy tu, że jeden tylko Francuz na świecie całym mógł coś podobnego wymyślić. U węzłowi ogromny i trochę za ciężki anioł skrzydlaty ulatuje niby kuniębu, ale w istocie nie opuszcza ziemi i nie tłumaczy dostatecznie myśli artysty. Tak są ugrupowane trzy główne figury zajmujące sam środek obrazu, t. j. Nieboszczyk, Francja i trzecia, niepewna, Anioł śmierci czy duch Thiersa? Wokoło i w górze niebo pochmurne; przy czerwonawym jego odbłyску nalewo widać pogrzebowy konwój, naprawo wały Paryża, a przy nich leżąca na ziemi kobieta ze zgasłą w rękę pochodnią, która wyobraża zapewne zwalczoną Komunę lub powstrzymaną Anarchię; w górze wśród szarych obłoków ledwie oznaczone przesuwają się pułki Napoleńskiej epopei, której nieboszczyk był historyografem.

Taki jest układ tego obrazu, którego ogólne wrażenie jest żadne, bo nie obudza żadnego wzruszenia i nie uderza ani wielkością pomysłu, ani wzniosłością estetyczną przedmiotu. Każdy rozumie i wie, że leżący na marach jest p. Thiers; ale okryty orderami, rozwieszonymi na koszuli śmiertelnej — co robi wśród zgromadzonych osób? tego nikt nie zgadnie. Wrażenie jest przykre, gdy się widzi jak wielkiej zdolności i pracy potrzeba było malarzowi, aby wyjść bez śmieszności z tak dziwnego założenia. Nigdy żaden urzędowy obraz nie przedstawiał nic podobnie błahego jak ta allegorya p. Viberta. Najlepszą częścią tego obrazu i zarazem najdotkliwszą krytyką tego dzieła, są piękne i wspaniałe wieńce kwiatów, które malarz zasłał całą przestrzeń przed marami. Kwiaty, malowane z brawurą wielkiego mistrza, są niezrównanej siły i wielkiego życia.

A kwiaty, — pełno ich tutaj, i wielu malarzy fran-

euzkich celuje w tym względzie. Oto całe ich kosze w tym pięknym suficie Carolusa Durana, przeznaczonym do Pałacu Luxemburskiego. Chociaż ta chwala *Maryi Medycejskiej*, silnie przypomina sufity Pawła Weroneza z pałacu Weneckich Dożów, co jest może wielką bardzo pochwałą artysty, nie przeszkadza to wcale, iż sufit ten, szczególnie kiedy się znajdzie na swem miejscu i we właściwym swoim położeniu, stanie się może jednym z lepszych obrazów tej wystawy.

W tymże salonie jest jeszcze piękny bardzo krajobraz Benouville'a *Dolina rzeki Annio* około malowniczego starego Tiburu, dzisiejszego Tivoli. Śliczny *Polny rumianek* pani Darrou i nakoniec dziwny obraz *Wieczery Pańskiej*. Pan Lerolle, autor tego obrazu jest realista, ale w dobrem znaczeniu, bo prawdziwy talent w każdym kierunku potrafi znaleźć prawdziwą swą drogę. Przed długim stołem, w skromnej bardzo jadalnej sali, jakby z tutejszego przedmieścia, zasłanym czystym, białym obrusem, Chrystus stoi w puśrodku, trzymając w rękę kawałek chleba i z wyrazem niezmiernie słodczy w twarzy, w oczach i na ustach wymawia znane wyrazy: „Bierście i pożywajcie”. Uczniowie otaczający Chrystusa są to nie owe hieratyczne, tradycyjne postacie dwunastu apostołów, i tu wchodzimy w sferę realizmu malarza, ale są to ludzie ludu—ludu, jaki widzimy wokoło siebie, ludu w jego prostocie i skromności, bez przesady rzemieślniczej paryskiej, bez wyszukania,—jednym słowem, bez dziwolągów i bez tendencji, ale tak jak Bóg stworzył, w prawdzie i rzeczywistości. Niektórzy z otaczających mistrza uczniów kłęczą u nóg jego, inni stoją lub siedzą za stołem, a wszyscy patrzą i słuchają z uwagą tego, co się dzieje w tej chwili. Każdy tu przyczynia się do wyrażenia akcji w tak naturalny sposób—i tu jest prawdziwy artyzm malarza, iż niepodobna jest w tym obrazie ani ująć, ani dodać żadnej osoby bez pogwałcenia jego pełnej i ślicznej harmonii. Na stole obok kilku skromnych talerzy widać szklanę z wodą i zielony słoik z korniszonami, który przecież, jakkolwiek wielkim anachronizmem się wydaje, nie sprawia wcale przykrego wrażenia.

Ogół obrazu uderza i czyni głębokie wrażenie, które sprawia niezmierna prawda i prostota, przeważnie panująca w tej scenie. Chrystus jasnieje tu w nieporównanej słodczy i pokoju, jako pan i król maluczkich; wśród tej wieczery, w tym kawałku złamanego chleba widać, że Zbawiciel daje tym, których ukochał, ciało i krew swoją! Taki realizm rozumiemy dobrze, poklaskujemy mu, bo to jest prawda jak Chrystus, co był: prawdą, drogą i żywotem!

Jest tu jeszcze drugi sufit, p. Rouviera. Ma to być *Jutrzenka*, ale zapewne jest to jutrzeńka malarza, bo nie wiem czemu, patrząc nań przypomniałem sobie tę znaną anegdotę Horacego Verne'ta, który wszedłszy razu jednego do sali w Muzeum Luwru, w której na suficie jest wyobrażony czas, otworzył raptem parasol.—„A to znówu poci? zapytał go pan Ravaisson, który mu towarzyszył. Czyż nie widzisz pan, odpowiedział Vernet, patrząc na sufit, jaka niepogoda?”—Boję się, aby kiedyś podobny zarzut nie spotkał *Jutrzenki*.

Zresztą głównym znamieniem tej Wystawy jest brak obrazu, któryby ściągnął na siebie zasłużoną uwagę jest to tak wielką prawdą, że wymyślone premium pod nazwiskiem: „Nagrody salonu“ *Le prix du Salon*, tego roku przysądzone zostało szczerstwu! Co do tej nagrody powiedzmy jeszcze, że przysądzona po dwakroć malarzom jako zachęta na przyszłość, zdaje się, że w skutku chybiła swego celu. Obrazy uwieńczone, pp. Sylvestre'a i Lehoux'a: *Ostatnie chwile Vitelusza* i *Zapaśnicy* nie pozostawiają najmniejszej wątpliwości, że wybór dawniejszy przysięgłych chyba tylko da się usprawiedliwić tem, że, niewiedząc komu przysądzić nagrodę, oddali ją pierwszemu lepszemu z pozostających malarzy. Obrazy albowiem, o których mówimy, nietylko nie usprawiedliwiają tego wyroku, ale go nawet ostatecznie potępiają.

Mówiąc że niema obrazu na tej wystawie, któryby ściągnął powszechną uwagę—zapomniałem o znakomitem dziele Müller'a *My chcemy Barabasa*. Wielki twórca sławnego obrazu *Appel des victimes de la terreur*, umiał się podnieść do tej wysokości sztuki, z której wszystko maleje dla wzro-

ku, oprócz doskonałości i piękna. Na pierwszym planie Barabasz, uwolniony z więzienia, oddaje swoje kajdany wybawcom, i jakby z szyderstwem patrzy na tę szalejącą przed nim tłuszcę, która w całym blasku ulicznej demonstracji, okrywa go oklaskami i wrzaskami radości. Scena ta, w której każdy z działaczy jest jakby żywcem schwycony na bruku, niezmiernie czyni wrażenie; stojący z tyłu za Barabaszem urwis, wrzeszczący na całe gardło: „niech żyje Barabasz!” jest okazem nienaśladowanej rzeczywistości. W głębi widać arcykapłana, Faryzeuszów i żołdactwo, potracające Chrystusa z całą wściekłością nienawiści i z całym brutalstwem przemocy. Jestto jeden z najlepszych obrazów wystawy jedno, najpiękniejszych dzieł tego płodnego i znakomitego malarza.

Portrety na tegorocznej wystawie, przeważnie pierwsze zajmują miejsce. Jest ich bardzo wiele, co dowodzi, że publiczność uprawia troskliwie ten rodzaj nieśmiertelności względnej, i że się nie waha drogo ją nawet opłacać. W tej wielkiej liczbie portretów, są doskonałe i bez zaprzeczenia wielkiej wartości dzieła. Dwa tu są imiona malarzy, które publiczność powtarza z upodobaniem: Bonnat i Chapelin. Obydwaj są ulubieńcami ogółu—obydwaj są w modzie—do nich może się zastosować ten znany wiersz Krasickiego:

Piotr malował podobne, Jan piękniejsze twarze.

Jak w bajce Krasickiego, kobiety idą do Chapelin'a—płec brzydka do Bonnat'a.—W rzeczy samej dwaj ci malarze, są najdoskonalszym wyrażeniem dwóch skrajnych sposobów zapatrywania się na sztukę—i technicznego zastosowania ich w praktyce. Bonnat, zajęty ścisłością wiernego naśladowania natury, fotografuje prawie swoje portrety; Chapelin, cały oddany poszukiwaniu barwy i światła, których mu nie szczędzi jego bogata w te zasoby paleta, nie odrzuca wcale prawdy i natury—ale zapatruje się na nie przez tę ludzącą soczewkę, która się zowie sztuką kolorysty.

Na tegorocznej wystawie, pomimo dwóch ślicznych portretów niewieści Chapelin'a—Bonnat odniósł pierwszeństwo w swoim *Fortreccie hrabiego Montalivet'a*. Prawie osmdziesięcioletni mąż stanu, złamany i pokurczony podagrą, ubrany według mody 1830 r., zdaje się być żyjącym przedstawicielem tej epoki, dziś tak odległej od nas, jakby cesarstwo rzymskie; portret ten czyni nawet wrażenie jak gdyby był malowany w owym czasie, jak gdyby wychodził z pracowni Ingres'a. Jestto zapewne pochwała, ale zarazem, pod względem sztuki, należałoby pragnąć, mniej trochę fotograficznej ścisłości.

Wspomnieliśmy imię Ingres'a; przytoczymy tu króciuchną anegdotę, tyczącą się portretu Bertin'a, który się uważa za arcydzieło tego mistrza; anegdotę, którą znajdujemy w świeżo wydanem dziele francuzkiego malarza pan Amaury-Duval'a, pod tytułem: „Pracownia Ingres'a“ *L'atelier d'Ingres*. A nawiasem powiedzmy, iż radzić należy tym wszystkim, którzy uważają portret, jako rzecz podrzędną, aby przeczytali książkę p. Amaury-Duval'a. Są to osobiste i zajmujące wspomnienia artysty; czytający znajdą w nich niejedną nauczającą uwagę—Ale, oto co się tam znajduje o portreccie Bertin'a.

„Wciagu licznych wstępnych posiedzeń, opowiadał autorowi niegdyś dyrektor *J. des Debats*, zropaczony Ingres łzami się prawie zalewał, a ja musiałem go pocieszać. Pewnego dnia nakoniec, artysta był u nas na obiedzie. Tutaj, na tem samym miejscu, gdzie jesteśmy dzisiaj, piliśmy kawę na wolnem powietrzu, i ja rozmawiając z jednym z moich przyjaciół, znalazłem się, jak się pokazało, w żądanej pozycyi do portretu. Ingres raptem zbliża się do mnie i prawie do ucha mi szeptem:—Proszę przyjść jutro na posiedzenie, portret pański jest skończony! Nazajutrz stawiłem się w pracowni, i rzeczywiście po kilku krótkich posiedzeniach, portret mój, przed końcem miesiąca został skończonym.“ Po takim świadectwie któż może pomyśleć, że malowanie portretu nie jest największym wysileniem, na jakie zdobyć się może artysta? Wyobraźcie sobie tylko, takiego malarza, takiego mistrza, jakim był Ingres, płaczącego z rozpacz przed modelem, którego nie mógł schwycić i oddać według swej chęci, według tego uczucia, które mu

wskazywało jakby miarę, jakby granicę jego dążności!

(Dokończenie nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Kraków w Lipcu 1878 r.

(Spóźnione).

Wybory do Rady miejskiej.—Wystawa wydziału sztuk pięknych w muzeum Dra Baranieckiego i 10-letnia rocznica tego zakładu.—Konkurs dramatyczny.—Nowe książki: *Przewodnik bibliograficzny* Dra Wislockiego i tegoż *G. Burley i M. Bielski*, *tu-dzież Urszula Mejerin—Bitwa pod Grunwaldem*.—Rossi.—Dr. Maurycy Straszewski.

Pisać w tej chwili z Krakowa, a nie wspomnieć, a nawet nie rozpocząć swego sprawozdania od tego, że przed miesiącem odbywały się tutaj wybory do Rady miejskiej, wydaje mi się rzeczą niemożliwą. Ta akcja politycznego życia i gminnego samorządu, przez czas niejaki zajmowała prawie wszystkie umysły, i to tak gorąco, że dla niej zapomniano o wszystkim innym, i na parę dni przynajmniej najważniejsze wydarzenia i sprawy tego świata ustąpić musiały na plan drugi. To pewna, że przez te dni kilka, większy tutaj budziło interes: jak wypadną wybory do Rady miejskiej, niżli to: co postanowi kongres w Berlinie, czy wypadnie z niego pokój czy wojna? Ze sześćdziesięciu członków Rady miejskiej, trzydziestem w tych czasach kończy się ich mandat, a zatem trzydziestu świeżych radców miał Kraków na ich miejsce obrać. Łatwo sobie wyobrazić, ile musiało być przy tej sposobności podrażnionych ambicji, ile poruszonych publicznych i prywatnych interesów, ile słodkich nadziei i niepokojących obaw! Do powiększenia nadziei i niepokojących namiętności przyczyniła się nadto ta okoliczność, że wybory tegoroczne stały się także niejaką walką między stronnkami a przeciwnikami obecnego burmistrza. Zdarzyło się albowiem, że burmistrz należał także do liczby radców, którzy w tych czasach ustąpić byli powinni, chociaż jako głowa Rady miejskiej jest obecnie zaledwie w połowie swego urzędowania. Przeciwnicy jego, których mówiąc nawiasem, w gronie samej Rady miejskiej znajduje się spora liczba, wszelkimi siłami dążyli do tego, chociaż zdaje się były to tylko uludne usiłowania, ażeby pan Zyblikiewicz nanowo nie został radcą miejskim obrany. Bo cóż w takim razie mogłoby nastąpić? Oto po takim wyraźnem wotum nieufności, burmistrz, niebędący radcą, byłby zmuszony moralnie, a może nawet i prawnie, do złożenia swego urzędu. Byłby to, zaiste, tryumf wielki i łatwy; przeciwnikom pana Zyblikiewicza różowe nadzieje, przynajmniej chwilami, się uśmiechały. Jako cel realniejszy i pewniejszy do osiągnięcia, postanowiono sobie oprócz tego to, ażeby do Rady miejskiej weszło jaknajwięcej ludzi przeciwnych burmistrzowi, czyli, mówiąc innymi słowy, postanowiono wzmocnić opozycję. Tym sposobem, jak powiedziałem, nietylko osobiste interesa i namiętności, ale także dwa przeciwne sobie obozy o barwach całkiem od siebie różnych, stanęły do walki wyborczej. Według ryczałtowego rozgatkowania tych obozów i ich ogólnej barwy, zwolenników burmistrza nazywano przy tej sposobności stronnictwem mieszczaniskim—co rzeczywiście ma za sobą pewną uzasadnioną rację.

Jakkolwiek zupełna porażka pana Zyblikiewicza nie wydawała się prawdopodobną, widać jednak, że się jej obawiano i przypuszczano nawet najgorszy dla niego rezultat wyborów. Komitet wyborczy albowiem kierujący całą tą akcją, a widocznie ze stronników burmistrza w przeważającej liczbie złożony, przedstawił go na kandydata, i to jego jednego tylko, aż w dwóch kołach wyborczych, to jest w kole mniejszych przemysłowców i w kole inteligencji. Gdyby przypadkiem pan Zyblikiewicz w kole mniejszych przemysłowców był przypadł, mógł być jeszcze zostać wybranym w kole in-

telligency, głosującym na samym ostatku, a w którym bezwątpienia zawsze największe miał widoki. Pokazało się jednak, że obawy były daremne. Koło mniejszych przemysłowców obrało pana Zybkiewiczę; tak więc mógł się on już rzec kandydaturę swojej w kole intelligeny — co też, otrzymawszy wotum ufności od tego grona, które za najmniej przychylnie dla niego uważano, rzeczywiście uczynił.

W głównym punkcie zatem przeciwnicy burmistrza ponieśli porażkę i powetowali ją poniekąd tylko przez to, że wzmocnili opozycję w radzie miejskiej. Kilku dawnych radców, znanych ze swego antagonizmu z p. Zybkiewiczem, a których jego stronnictwo usunąć z rady pragnęło, weszło do niej napowrót, wybrano także kilku nowych, takich, których to stronnictwo sobie nie życzyło. Tym sposobem siły obu stronnictw więcej się wyrównały, z czego łatwo przewidzieć, że w następnej kadencji walki w radzie miejskiej będą jeszcze częstsze, zaciętsze i w rezultacie sprowadzić mogą do niej w interesach publicznych. W tym wypadku równowaga, gdzieindziej zwykle tak pożądana, może się okazać bardzo szkodliwą.

Od tego burzliwego, a może i trochę ciemnego, obrazu z naszego życia społecznego z wielką ochotą przechodzę na inne całkiem pole. Oto w Muzeum dra Baranieckiego ukończył się kurs rysunków i malarstwa, i owoce całorocznej pracy uczennic wystawione zostały na widok publiczny. Wystawa ta interesuje widać dosyć tutejszą publiczność, bo o każdej porze można tam było spotkać dosyć sporą gromadkę zwiedzających, najwięcej zaś ze sfery najsilniej interesowanej, t. j. z płci pięknej. Wystawione były rysunki ze czterech oddziałów tej szkoły, obejmujące roboty ze wzorów, z odlewów gipsowych i z żywych modeli, a wreszcie i znaczną liczbę krajobrazów. Wszędzie widać, że praca brana jest zupełnie na seryo, że pilności nigdy nie brakowało, i że między uczennicami znajdują się nawet prawdziwe zdolności. Prace te młodych dziewcząt stoją całkiem na równi z pracami, jakie można widzieć na wystawach wyższych zakładów naukowych męzkich, bo nie ustępują im nawet w dokładności wykonania. Toż samo można bez wahania się powiedzieć o obrazach olejnych, których około dwadzieścia tego roku się pojawiło. Wszystkie, oprócz paru krajobrazów, są studjami głów z żywych modeli a wykonane zostały przez pięć czy sześć uczennic. Pomimo znacznej liczby wystawionych rysunków, a stosunkowo także i obrazów olejnych, nie jest to jeszcze wszystko, co w obu tych gałęziach wydział sztuk pięknych zrobił w upłynionym roku. Szesćdziesiąt rysunków i szesnaście obrazów olejnych oprócz tego, i to naturalnie w najlepszych, wysłano do Paryża, i znajdują się one tam na Wystawie Powszechnej.

Ale dr Baraniecki nie lubi stać na jednym miejscu, i zawsze pełen jest nowych a pożytecznych pomysłów rozszerzających ramy i powiększających znaczenie jego zakładu. Niedawno do rysunków i malarstwa dodał drzeworytnictwo, któremu kilku uczennic z ciągłym postępowaniem się oddaje, a oto w tym roku ujrzelśmy znowu inną nowość, a raczej dwie nowości, bo rysunki ornamentacyjne i perspektywiczne. Szczególnie pierwsze z nich mogą i pod względem praktycznym pokazać się dla kobiet bardzo pożytecznymi, mogą bowiem znaleźć zastosowanie do haftu i ceramiki, na którą i w naszej prowincyi zaczynają baczniejszą zwracać uwagę, i która przy pomocy zakładanych szkół może liczyć na dalszy rozwój i pewną przyszłość. Gdyby te nadzieje się sprawdziły, sztuka ornamentacyjna przy wrodzonym kobiecie guście i ruchliwej wyobraźni, mogłaby stać się wyłączną gałęzią dla płci pięknej i oprócz przyjemnego zajęcia dać jej także dosyć obfite źródło zarobku. Rysunki perspektywiczne (udzielane przez znanego per-

spektywistę, malarza Gryglewskiego) ścisłością wykonania mogłyby zadziwić niejednego z tych, co zwykli nie dowierzać matematycznym zdolnościom i wytrwałości w żmudnej pracy u kobiet.

Za te wszystkie starania i trudy, za prawdziwie ojcowską pieczołowitość, z jaką dr Baraniecki otacza swój zakład i jego uczennice, nie dziw, że spotyka go wielkie uznanie i prawdziwie z serce pochodzącą wdzięcznością. Świeży dowód tych uczuć odebrał on w końcu przeszłego miesiąca, w którym to czasie przypadała właśnie dziesięciolecie rocznica założenia Muzeum. Uczennice zakładu ofiarowały mu na tę pamiątkę srebrny wieniec z odpowiednim napisem, tudzież adres dziękczynny z winietą artystycznie wykonaną i opatrzony podpisami wszystkich uczących się. Nie jest to już pierwsza dla niego pamiątka w tym rodzaju, ale życzymy mu, aby ich jeszcze wiele w swoim życiu odebrał.

Tegoroczny konkurs dramatyczny dosyć smutnie wypadł. Żadna sztuka nie otrzymała nagrody, i tylko jedna: „Uroki“, napisana przez p. J. Łętowskiego z Krakowa, poleconą została do grania z warunkiem dopełnienia pewnych przeróbek i przemian. Przyczyną tego było zbyt znaczne ograniczenie konkursu, do którego w tym roku tylko sztuki ludowe przypuszczono. Z góry jednak można było przewidzieć, że taki warunek musi takie za sobą pociągnąć następstwo. Autorów piszących w tym rodzaju mamy bardzo mało, prawdę powiedziawszy, mamy tylko jednego, a na to liczyć nie można, żeby on każdego roku coś na konkurs przysłał. Zresztą dla jednego konkursu, jak z natury rzeczy wypada, jest zażyteczny. Jeżeli kto ludową sztukę napisze, a ta ze wszystkich nadesłanych, choć w innym rodzaju, okaże się najlepszą, można jej przecież dać nagrodę bez poprzedniego ograniczenia konkursu do jednego tylko gatunku sztuk. Kommissya konkursowa uznała też widać błąd w poprzednim roku popełniony i na rok następny ogłosiła nagrodę 500 złr. bez żadnego ograniczenia, za jakąkolwiek dobrą sztukę wypełniającą cały wieczór.

Od 1 Lipca zaczęło tutaj wychodzić nowe pismo peryodyczne *Przewodnik bibliograficzny*. Wychodzić ono będzie raz na miesiąc w objętości pół do półtora arkusza druku i zawierać dwa główne działy, t. j. właściwą bibliografię bieżącą i ogłoszenia księgarskie. *Przewodnik* pożytecznym będzie zarówno dla wydawców, księgarzy i antykwarzy jako też i dla publiczności czytającej i kupującej książki. Redaktorem jego jest Kustosz Biblioteki Jagiellońskiej, dr Wład. Wisłocki, pracujący nie tylko skrupulatnie około bibliografii, ale oddający się także z zamiłowaniem badaniu naszych dzieł i literatury. W tym drugim rodzaju wyszła świeżo niewielka jego broszura, ale ważna ze względu na osiągnięty rezultat p. t. *Gwalter Burley i Marcin Bielski*. Autor wykazuje w tem dziełku, pierwszy z piszących o literaturze polskiej, że książka M. Bielskiego *Zywoty filozofów* jest tłumaczeniem łacińskiego dzieła napisanego w początku XIV wieku pod podobnymże tytułem przez Anglika Burleya. Wobec dowodów dra Wisłockiego, jasnych i gruntownych, upadają wszelkie dawniejsze twierdzenia, że to była albo praca oryginalna, albo przerobienie Dyogenesa z Laerty lub jakiegoś czeskiego oryginału. Wartość *Zywotów* bezwątpienia obniżyła się przez to, ale zyskała prawda. A jednak i z powodu tej książki, dopóki o niej poomacku sądzono, ileż to było deklamacy i puste frazeologii, których czczość dzisiaj naczynie się pokazuje! Wszakże to chciano wzmówić nawet w poczciwego Bielskiego, że miał zamiary wszczepienia w umysły przez tę książkę pojęć filozoficznych, albo, co jeszcze zabawniej wyglądało, że chciał wymyślić nowy rodzaj dziejopisarstwa biograficznego! Badanie dra Wisłockiego wzmocniło także ten charakterystyczny rys naszego piśmiennictwa, jakoteż i wielu innych w podobny sposób jak nasze powstających, że poczyna się ono od tłumaczeń i przerabiań z obcych dzieł. Znamy tego rodzaju książki w początkach naszej literatury mamy wcale znaczną liczbę. *Zywoty filozofów* chciano uważać za coś innego i wartość ich do przesady przeceniano.

Mówiąc o drze Wisłockim, przypominam sobie, że jest on także autorem książeczki nieco dawniej wydanej, o której już i pisma warszawskie czyniły wzmiankę, a która szczególnie powinnaby być interesującą dla płci pięknej, poświęcona bowiem jest jednej z historycznych postaci kobiecych naszej przeszłości, spopularyzowanej szeroko, chociaż nie na korzyść, przez utwory poetyczne romantycznej literatury, *Urszuli Mejerin* mianowicie. Autor rehabilituje ją i na podstawie nowych źródeł stawia ją w innym zupełnie świetle niż ją przedstawiły powieści i dramata, drugorzędnych wprawdzie poetów. Wywody jego mają na sobie cechę prawdy, trafiają do przekonania, a Urszula Mejerin w tej postaci, w jakiej ją kreśli, zdaje się, że koniecznie musi być podobną do rzeczywistej. Odsyłając czytelnika *Bluszczu* po szczegóły do samej rozprawy p. Wisłockiego, poprzestanę na podaniu mu ostatecznych rezultatów badań, streszczających się w tem, że autor uwalnia Urszulę od zarzutu, jakoby była stronniczem narzędziem Jezuitów, jakoteż, aby ją z dwoma po sobie następującymi królami, Zygmuntem III i Władysławem IV, łączyły jakiekolwiek serdeczne i niebardzo zaszczytne stosunki. Urszula była całkiem sercem oddana rodzinie królewskiej, ale jedynie jako przywiązana sługa i przyjaciółka, jako opiekunka młodego a doradczyni troskliwa starszego pokolenia, która dla tych przymiotów i z tego tytułu jedynie wyrobiła sobie na dworze królewskim takie stanowisko jakby do rodziny należała.

Bitwa pod Grunwaldem Matejki jest już na ukończeniu. W tym miesiącu obraz ma być przeniesiony do tutejszej sali rady miejskiej, i tutaj artysta przyłoży ostatni raz swą rękę, bo jego własna pracownia za szczupłą na to się okazała; potem obraz będzie przez kilku tylko dni wystawiony na widok publiczny, a wreszcie wysłany na Wystawę Paryżką. Już teraz donoszą dzienniki, że Matejko otrzymał na wystawie medal zaszczytny za dawniejsze swe dzieła; ciekawa jest czy najnowszą pracą nowych jakich zaszczytów mu nie przysporzy? Donoszono również, że Rossi, tak uwielbiony przez Warszawę, przybędzie i do nas, i grać będzie w *Otellu*, *Hamlecie* i *Lirze*. W ostatniej już chwili wiadomość ta została odwołaną, z powodu, że Rossi postanowił przedłużyć swój pobyt w Warszawie i dopiero na przyszły rok tutaj się obiecuje.

Professorem filozofii na Uniwersytecie Jagiellońskim po s. p. Kremerze mianowany został dr Maur. Straszewski. O tę katedrę współubiegał się z nim ks. Stefan Pawlicki ze Zgromadzenia Zmartwychwstańców w Rzymie, niegdyś docent b. Szkoły Głównej Warszawskiej.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dokończenie powieści pod tytułem: *Zamek Daly*.

TREŚĆ. Znaczenie pierwiastku ludowego w literaturze. — Vanina Ornano, dramat, (dalszy ciąg), przez J. K. S. — Korrespondencya zagraniczna, (Lwów). — Powrót, (poezya), z Heyne'go. — Połączeni na zawsze, (dalszy ciąg), powieść El. Polko, tłum. przez Ewelinę Kłoskowską. — Nowiny paryżkie. — Korrespondencya zagraniczna, (Kraków).

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 1 Августа 1878 года.